

- A. Paciorek, *Cztery razy TAK*. „Rzeczpospolita” z 14 XI 1994.
 S. Wolltner, *Erziehung zur Weltherzigkeit und versöhnlichen Duldung*. „Masurische Storch Post” nr 2/1995.
 R. Bubnicki, *Spotkajmy się z innymi – niech inni nie będą obcy*. „Kultura” (Paryż) nr 7/1995.

Filmy telewizyjne o programie:

- Spotkanie*, realizacja Truskawkowe Studio, lipiec 1994, II program TVP.
Sami obcy? reżyseria Stanisław Kubiak, wrzesień 1994, II program TVP.
Koncert Narodów, realizacja Jolanta Wilczek, Ryszard Łabus, kwiecień 1995, TV Katowice.

Ważniejsze referaty na temat programu wygłoszone na konferencjach naukowych w 1995 i 1996 r.:

- B. Weigl, Zmiana stosunku do innych pod wpływem wielokulturowego programu edukacyjnego. Edukacja Międzykulturowa, Białystok 1995.
 B. Malisziewicz, Tematy roku jako próba integracji pracy szkoły wokół wybranych wartości. Edukacja Alternatywna – Dylematy Teorii i Praktyki, Łódź 1995.
 B. Weigl, Research concerning Perceptions of ethnic minorities. Globalisierung und europäische Kultur, Freiburg 1996.
 B. Weigl, Multicultural curriculum as a mean of democratic attitude formation. Challenges and Changes in Citizenship Education in Poland, Jabłonna 1996.
 B. Weigl, J. Mika, Wielokulturowy program nauczania – szansa dla szkół pogranicza. Historia i wizerunek sąsiada w polskich i niemieckich podręcznikach szkolnych przed i po przemianach systemowych, Guben – Gryfino 1996.
 B. Malisziewicz, Metody wprowadzania problematyki żydowskiej do programu dydaktycznego szkoły podstawowej. Kurs Szkoleniowy Żydowskiego Instytutu Historycznego, Warszawa 1996.

BEATA MALISZKIEWICZ, JERZY MIKA,
 BARBARA WEIGL

POGWARKI WITNICKIE – SPOTKANIA Z MIESZKAŃCAMI PRZYGRANICZNYCH MIASTECZEK

Od początku lat dziewięćdziesiątych daje się zauważyć wyraźny wzrost zainteresowania Ziemią Zachodnimi i Północnymi wśród badaczy różnych dyscyplin naukowych. Wynika to z wielu powodów. Jednym z nich jest fakt, iż po przełomie zmieniły się znacznie realia społeczno-polityczne, tak w Polsce, jak i w innych państwach środkowo-europejskich, co już samo w sobie skłania do jakiejś głębszej refleksji historycznej; ponadto 50-letni okres zagospodarowywania tych ziem, jaki upłynął od momentu ich przejęcia, stwarza możliwość przyjrzenia się niektórym zjawiskom z pewnej perspektywy czasowej i pozwala na sformułowanie bardziej ogólnych wniosków, dotyczących nie tylko stopnia rozwoju gospodarczego tego obszaru, ale i zmian w sferze życia społecznego, a zwłaszcza w sferze przemian świadomościowych, jakie się tam dokonały.

Obecna granica między Polską a Niemcami przebiega przez tereny, które nigdy przedtem nie były pograniczem – twierdzi Wanaj W. Ronge, socjolog z Berlina. I jak dotąd nie wytworzyła się jeszcze między obu tymi sąsiadującymi ze sobą narodami owa mieszana pod względem językowym i kulturowym strefa, jaka występuje w innych regionach przygranicznych, a która wyrasta niejako sama przez się z owego historycznego bytowania obok siebie. Jego zdaniem – nie nastąpiło dotąd przemieszanie owej „dwujęzycznej i dwukulturowej ludności, nie spotykamy tu jednak również wielu typowych uprzedzeń o charakterze regionalnym, żadnych specyficznych tworów językowych, żadnych legend i mitów. Wyjątek stanowią ogólne stereotypy, klisze i oceny, jakie formułują o sobie nawzajem dwa sąsiadujące narody”¹.

Specyfika tego pogranicza wynika w dużej mierze z historii jego powstania, a przede wszystkim z jego składu ludnościowego. Na ziemię przyłączone po 1945 r. do Polski na zachodzie i północy kraju przybyła ludność z różnych regionów, przywoząc ze sobą bagaż własnych doświadczeń i przyzwyczajęń, wnosząc swoje obyczaje, język, kulturę. Stąd też w krótkim czasie wytworzył się tu swoisty tygiel wielokulturowy. Przybywano dobrowolnie i na zasadzie przymusowych przesiedleń, z różnymi nastawieniami i zamiarami. Wciąż jednak nie bardzo wiadano, jak potoczą się dalsze losy owego sztucznie stworzonego pogranicza, czy będzie ono miało charakter trwały, czy też chwilowego prowizorium. W odczuciu większości nowych osadników sytuacja polityczna była w tym pierwszym okresie dość niepewna. Nic więc dziwnego, że początkowo osiedlano się tu stosunkowo niechętnie. Mimo rozmaitych form zachęty ze strony władz, pierwszym przesiedleniom towarzyszył wciąż ustawiczny strach przed powrotem byłych właścicieli na te ziemie. Nieustające poczucie tymczasowości jeszcze przez wiele lat było udziałem nowych mieszkańców tych terenów.

Warto więc może przyjrzeć się bliżej owym pierwszym wrażeniom po przybyciu na obcą i nieznaną ziemię oraz poznać problemy związane z jej zasiedleniem. Chcąc odtworzyć i zachować od zapomnienia historię tamtych dni W. Ronge w 1994 r. postanowił zainicjować tzw. Pogwarki, czyli cykl spotkań z obecnymi mieszkańcami przygranicznych miasteczek po obu stronach granicy². Było to możliwe dzięki finansowemu wsparciu instytucji *Regionale Arbeitsstelle für Ausländerfragen*, której celem jest m.in. wspieranie rozmaitych inicjatyw w rejonie pogranicza mających służyć lepszemu porozumieniu między sąsiadami.

„Pogwarki” to określenie, które nie ma swego odpowiednika w języku niemieckim, toteż po drugiej stronie granicy spotkania te nazwano po prostu *Erzählrunden*. Cieszą się one tam dużym zainteresowaniem i organizowane są

¹ Wanja W. Ronge, „Pogwarki” o polsko-niemieckiej przeszłości na terenach pogranicza. „Inter Finitimos. Informator Naukowy do Badań nad Stosunkami Polsko-Niemieckimi”. (Kraków, Osnabrück), nr 7/1995, s. 7.

² Koncepcja „Pogwarek” zrealizowana została już uprzednio w odniesieniu do miasta Węgrowa k. Warszawy. Autorami projektu badawczego byli: Waltraut Kerber-Ganse i Wanja W. Ronge z Berlina. Ze strony polskiej współuczestniczył w badaniach Wiesław Theiss, historyk i pedagog z Uniwersytetu Warszawskiego. Szerzej o „Pogwarkach węgrowskich” zob. W. Kerber-Ganse, Wanja W. Ronge, „Pogwarki” – *Biographie einer polnischen Kleinstadt. Geschichten aus den Lebensgeschichten ihrer Bewohner*. „Mitteilungen & Materialien. Arbeitsgruppe Pädagogisches Museum e.V.” (Berlin) nr 40/1993, ss. 15-42.

przez Wanję W. Rongego w kilku miejscowościach przygranicznych landu Brandenburgii m.in. w: Eisenhüttenstadt, Vogelsang, Obersdorf, Latschin, Lebus. Po stronie polskiej Pogwarki zaczęły się i odbywają się nadal regularnie w Chojnie (od 1994 r.), a następnie także w Witnicy (1995 - 1996) oraz Ośnie Lubuskim (1996 r.). Mają one na celu zrekonstruowanie biografii miasteczka na podstawie losów jego mieszkańców. W istocie zaś chodzi o podniesienie stanu samoświadomości głównie młodych ludzi, którzy już na tych terenach się urodzili. W. W. Ronge tak oto ujął przesłanie „Pogwarek”:

„Poszerzenie wiedzy o swym miasteczku lub wsi sprawi, że poczują się oni (młodzi mieszkańcy dop. M. W.-M.) tam bardziej u siebie i to nie dlatego, że dowiedzą się prawdy o najważniejszych wypadkach, które doprowadziły do powstania społeczności, w której żyją. Proponowane odkrywanie śladów wydarzeń, które trwają już tylko w pamięci świadków nie może przypominać okolicznościowych sentymentalnych wieczornic, ani też konwentykli zaklinających poczucie ekskluzywnej wspólnoty. Wypowiedzi świadków wydarzeń dostarczą nieupiększony obraz spraw minionych; nie będzie on ani obiektywny, ani spójny. Poszukiwanie obiektywizmu nie jest zadaniem »Pogwarek«. Sprzeczności pozostaną sprzecznościami”³.

Zbigniew Czarnuch, historyk i pedagog, założyciel i prezes Towarzystwa Przyjaciół Witnicy, organizator naszych spotkań na miejscu, zauważył:

„W pierwszym pokoleniu ludzie, którzy wchodzą w nowy kraj, stosunkowo niewiele interesują się krajem dzieciństwa, może poza osobistymi wspomnieniami. Chcą się szybko zaaklimatyzować w nowym miejscu. W drugim pokoleniu jeszcze ten proces trwa. W trzecim natomiast wręcz odwrotnie – chcą wiedzieć skąd pochodzą. I dlatego to, co robimy w Towarzystwie Przyjaciół Witnicy – opracowania, relacje – to jest pisane z myślą o trzecim pokoleniu, żeby oni wiedzieli skąd pochodzą, i żeby nikt z tego tytułu nie czuł wstydu, ażeby miał poczucie dumy (...). I naszym obowiązkiem jest właśnie to utrwalić”⁴.

Historia ziem pogranicza jest w takim samym stopniu powikłana, jak losy jej byłych i nowych mieszkańców. Dla Niemców, którzy mieszkali ongiś na tych terenach ich historia skończyła się w 1945 r.; dla Polaków, którzy tu przybyli, wówczas się zaczęła. Do tej pory istnieje wciąż jeszcze wiele niewypowiedzianych krzywd i wzajemnych oskarżeń. Nadszedł więc chyba czas, żeby mówić głośno o tym, co dotąd przemilczano, co było bolesne. Uporanie się z problemem wysiedleń i przesiedleń po obu stronach granicy może stworzyć podstawę do zbudowania lepszych stosunków międzysąsiedzkich. Nie ma bowiem jednej prawdy o historii tych ziem w owym czasie, jest ich tyle, ile losów ludzkich było z nią związanych; składa się na nią splot biografii ludzi, którzy tworzyli dotychczasową historię tej ziemi i tych, którzy budowali ją niejako od nowa, wnosząc w nią całe bogactwo swych dotychczasowych doświadczeń. Każda z tych prawd jest subiektywna, tak jak subiektywne są odczucia jednostek, toteż zjawisko to należy postrzegać w całej jego rozciągłości. Jest to ogromna mozaika losów ludzkich, którą chyba warto ocalić od zapomnienia.

Wanja W. Ronge trafnie zauważył podczas pierwszego spotkania w Witnicy, iż prawdy o tym pierwszym okresie powojennym nie odnajdzie się tylko w dokumentach historycznych; ślady tej historii tkwią właśnie w ludziach, i tylko wyłącznie w ich pamięci. Stąd też pomysł, by dotrzeć do tych

³ *Ibidem.*, s. 11.

⁴ Fragment wypowiedzi podczas „Pogwarek”.

zakamarków, ożywić wspomnienia, przywołać i wydobyć z nich to, co nigdzie nie zostało dotąd zapisane. Biografie ludzi przybyłych na tereny przygraniczne znacznie więcej powiedzą o ich historii niż niejeden dokument *stricto* historyczny.

Opowieść ludzi o tym, jak to było, kiedy przybyli na nową ziemię, co przeżywali, jakie były motywy ich przyjazdu (nie wszyscy przybywali tu przecież w ramach przymusowej akcji przesiedleńczej, niektórzy przyjeżdżali dobrowolnie, licząc na poprawę warunków życia, traktując przyjazd tutaj jako szansę znalezienia mieszkania, pracy), i wreszcie co zastali na tych terenach, jak się tu czuli i jak kształtowały się stosunki między osadnikami reprezentującymi różne grupy etniczne – oto mniej więcej katalog pytań, które stanowiły osnowę tych spotkań, pomagając zrekonstruować przedziwną historię tych ziem. Chcąc widzieć te sprawy w pełnym wymiarze należało sięgnąć nieco głębiej, czyli cofnąć się w czasie do okresu wojny i okupacji. Rozmowy koncentrowały się zasadniczo wokół kilku kluczowych haseł: miejsce pochodzenia, okres wojny i okupacji, wysiedlenie, zasiedlenie.

Ludzie chętnie przychodzili na organizowane raz w miesiącu w siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Witnicy spotkania przy kawie, dzieląc się swymi wspomnieniami. Uczestniczyło w nich średnio ok. 15 osób; obecni byli ponadto moderatorzy (W. W. Ronge i niżej podpisana) oraz niezastąpiony Z. Czarnuch, który „skrzyknął” właściwie tych ludzi i zachęcił do zwierzeń. Spotkania miały charakter luźnej rozmowy. Towarzyszyła im na ogół miła, serdeczna atmosfera. Niektórzy wydawali się jakby zawstydzeni tym, że kogoś interesują ich prywatne dzieje. Wypowiedzi były rejestrowane na taśmie magnetofonowej, tak by utrwalił pewien klimat towarzyszący spotkaniom, a także ów specyficzny język, wyróżniający wciąż jeszcze ludzi ze Wschodu. Taśmy te stanowią swoisty dokument żywej historii opowiedzianej ustami być może ostatnich już świadków wydarzeń pierwszych lat po wojnie na Ziemiach Zachodnich. Toteż najlepiej oddajmy głos cytatom; niech mówią same za siebie. Trzeba jednak zaznaczyć, iż zaprezentowany poniżej przekrój zagadnień związanych ze społecznym odbiorem procesu zasiedlania nowych terenów na zachodzie kraju, to tylko wybór niektórych z poruszanych podczas spotkań kwestii. Poniższy materiał został pogrupowany według kilku działów.

Z jakich rejonów, kiedy i w jakich okolicznościach przybyli do Witnicy obecni jej mieszkańcy?

Niektórzy uczestnicy spotkań byli bardzo rozmowni i opowiadali swe dzieje z wszelkimi szczegółami, inni wypowiadali się w sposób raczej zwięzły. Jak wynika z ich wypowiedzi były obszary lub miejscowości na Ziemiach Zachodnich, gdzie przenoszono wręcz całe wsie z terenów wschodnich; natomiast do Witnicy przybywali osadnicy niemal zewsząd. I tak wśród naszych rozmówców były osoby pochodzące z: Drohobycza na Ukrainie, z Polesia, ze Lwowa, z Kamionek Wielkich w powiecie Kołomyja w woj. stanisławowskim, z Łukowa w woj. lubelskim (obecnie siedleckim), z województwa konińskiego, z Koła, z Pobiedzisk w woj. poznańskim, z Zamościa, z niewielkiej miejscowości Mordy w woj. siedleckim, z woj. tarnopolskiego *etc.* Osiedlano się zresztą nie tylko w samej Witnicy, ale i w okolicy, np. w Miałach, Białczyku, Kostrzynie, Kamieniu Małym.

Interesujące były wspomnienia dotyczące transportu. Większość ludzi przybywała w pierwszych transportach tuż po wyzwoleniu, niektórzy już w maju, inni we wrześniu 1995, a jeszcze inni dopiero w latach 1947-1948.

O tym, jak trudne to musiały być chwile świadczy chociażby to, iż wspomnienia tamtych dni są nadal bardzo żywe, nie zatarły się wcale z biegiem czasu w ich pamięci: „W młodym wieku (miałem wtedy 18 lat) było trochę ciężkiej pracy okupacyjnej, trochę odsiadka, trochę przesiadka w różnych wagonach (...). I tak tu przyjechałem. Było to, można powiedzieć, tragiczne przeżycie, bo przyjechałem w jednych majtkach, w jednej koszuli, bez grosza, bez pieniędzy”. Podobnie zabrzmiała wypowiedź innej osoby, która musiała opuścić dom rodzinny w Baginsbergu pod Kołomyją: „Kiedy przyszedł rozkaz: »Wyjazd 15 maja« to jechaliśmy w odkrytych wagonach, w takich węglarkach. Dzieci małe, deszcz pada, nie było się czym nakryć, wszystko pomokło. Płacz i zgrzytanie zębów”. Niekiedy w wypowiedziach przebija nuta determinacji, swoistego pogodzenia się z losem, choć być może nie do końca to wówczas rozumiano i odbierano niekiedy jako niezastępowane, wręcz niesprawiedliwe: „(...) jechaliśmy na zachód takim strasznym transportem, dwa tygodnie, w siedemnastu wagonach, na mrozie (...), w bydłych wagonach z piecykiem, jako repatrianci. Trudno, trzeba było. Polacy doczekali się czegoś takiego”.

Wojna skomplikowała życie wielu ludzi, wielu rodzin. Część osób przybyła tu wyrwana z domu rodzinnego, mając nadzieję na szybki powrót. Wcale nie chciano pozostać tu dłużej. Pierwsze transporty w latach 1945-1946 przyjeżdżały przeważnie z Ukrainy; później, w 1947 r. nie było już – jak mówiono – takiego nawału. „Przyjechaliśmy pierwszym transportem do Witnicy (15 maja 1945 r. z Kamionek Wielkich – dop. M. W.-M.). Jeszcze byli tu mieszkańcy niemieccy. Przyjechaliśmy na stację, wyładowali nas. Nie chcieliśmy już nigdzie dalej jechać. Zawieźli nas do szkoły. Mieszkaliśmy dwa tygodnie w szkole, może trzy. Później zaczęli Niemców wysiedlać. Pomału ludzie rozchodzili się, szukali sobie gospodarstwa, domu. Pełno Ruskich było. Ruski wywozili Niemców” – to fragment wspomnień pewnego kolejarza dotyczący „dzikich wysiedleń” Niemców w tym okresie⁵.

Ci, których przesiedlano z Kresów Wschodnich często sami nie wiedzieli dokąd ich wywożą i jaki będzie ostateczny cel ich podróży w nieznane; byli skołowani: „(...) całe szczęście, że jechaliśmy tylko tydzień, tydzień do Bytomia, bo chcieli nas tam zostawić, ale myśmy się nie dali, nie chcieliśmy wysiadać, więc nas przeladowali i dalej na zachód do Witnicy. A dalej, to już nie było drogi, tylko granica i trzeba było zostać”. Ktoś inny mówił: „(...) jechaliśmy z tarnopolskiego. Zostaliśmy przeladowani w Samborze z szerokich torów na wąskotory; później Krosno, Jasło, całą noc do Limanowej, do Katowic. W Katowicach skierowano nas tutaj na północ. Myśmy jechali ostatnim transportem”.

Inni trafili do Witnicy z Niemiec, gdzie zostali uprzednio wywiezieni na roboty przymusowe. Przytoczmy fragmenty ich relacji, gdyż mówią one wiele o warunkach, w jakich zmuszeni byli tam pracować, o stosunku do nich tamtejszych pracodawców; jednym słowem o tym jak ich tam traktowano. Poznanie tego wycinka rzeczywistości okresu wojny i okupacji jest również istotne, gdyż niewiele się dotychczas mówiło na ten temat; częściowo była to dotąd biała plama. Z niektórych opowieści wynikało, że bywało różnie, ale ci, którzy trafili do pracy na wsi nie mieli najgorzej: „Wywieźli nas do Niemiec na Nowy Rok (...). To było w Brandenburgii.

⁵ Por. A. Kochański, *Protokoły z obrad KC PPR w maju 1945*. Warszawa 1992, s. 42 i nast. Dotyczy uchwały z 26 maja 1945 o ustaleniu „czystki” etnicznej w promieniu 30 km w pasie przygranicznym. W rzeczywistości zaś „dzikie wysiedlenia” miały miejsce w promieniu ok. 200 km.

Nasz ojciec pracował w gospodarstwie. Wywieźli nas całą rodziną, bo myśmy byli niejako pochodzenia niemieckiego. No, i ojciec pracował na tej gospodarce, bo ten bauer i jego syn byli na wojnie. Potem mego brata też Niemcy zabrali na wojnę. Byliśmy tam do 1945 r. Pierwszego maja nas wyzwolili Polacy; nie Ruscy, tylko Polacy”.

Nie wszyscy, którzy byli wywiezieni do Niemiec na roboty przymusowe narzekali na ciężki los. Jedna z pań została wywieziona do Chemnitz, do Saksonii, gdzie była zatrudniona w fabryce przy produkcji drobnych części maszyn. Wraz z innymi kobietami nocowały pod fabryką, w piwnicach. Z kolei inną panią wywieziono do Saksonii, do południowego Harzu. Jak przyznała, nie była maltretowana fizycznie. Z dumną wrycz mówiła, że liczone się z nią, gdyż umiała okazać swą „polską godność”. Pracowała tam w ogrodnictwie. Nie miała ciężkiej pracy, a ponieważ знаła język niemiecki, więc bardziej pomagała w pracach domowych niż w samym ogrodnictwie. Skomplikowaną historię opowiedział jeden z uczestników spotkań. Wywieziono go do Bawarii przydzielając do gospodarstwa jednego z bauerów; stamtąd został odesłany do sypania wałów gdzieś pod Akwizgran. Jemu jednak nie spodobało się w okopach, bo tam „głód, wszy i zimno”, więc uciekł do swego bauera. Ten się ponoć za głowę chwycił i powiedział: „Człowieku, przecież mnie tu rozstrzelają za to, że ja cię tu chronię, przecież ty jesteś dezterter”. Ale ustalili, że on o niczym nie wie, a całą odpowiedzialność weźmie na siebie jego dziewczyna (Polka, która też została wywieziona do Rzeszy i początkowo pracowała u pewnej „złej Niemry” – jak mówiono, gdzie była bardzo źle traktowana, a którą następnie tenże bauer ściągnął do siebie). Po ucieczce z okopów zamieszkali oboje na tym gospodarstwie. Doznali tam autentycznej życzliwości – jak wspomina tenże pan. Na poparcie swych słów przytacza przykład, iż chociaż Niemcom nie wolno było jeść posiłków razem z Polakami, to ich gospodarz uważał, że skoro „u mnie pracujesz to i jeść będziesz razem z nami”. Proceder ten był co prawda dość niebezpieczny i mógł go kosztować nawet życie, ze względu na ewentualność donosu, ale ponieważ była to stosunkowo mała wieś, licząca praktycznie parę domów, gdzie mieszkali niemal wyłącznie jego krewni, ryzyko, że ktoś doniesie nie było aż tak wielkie.

Niekiedy zaś po prostu zawierucha wojenna rzuciła ludzi w te strony. Jeden z uczestników spotkania, urodzony w Kole opisał, w jaki sposób przybył tutaj jako 15-letni chłopak. Był rok 1940. Wychodząc z kościoła z porannej mszy dostał się do łapanki. Wywieziono ich samochodami na dworzec i wsadzono do pociągu. W ten sposób dojechał do Stolbergu (obecnie Kamień Mały). Od Krzyża pociąg zatrzymywał się na każdej stacji, po czym kazano im wysiadać i ustawić się w dwuszeregu, a następnie „panowie w zielonych kapeluszach z piórkami” przechodzili wzdłuż szeregu i wybierali sobie spośród nich ludzi do pracy. Reszta wsiadała z powrotem do pociągu i jechała dalej. Nasz rozmówca został wybrany przez gospodarza właśnie w Kamieniu Małym. Tam pracował aż do wyzwolenia, czyli do 2 lutego 1945 r.

Z kolei mieszkaniec Pobiedzisk, urodzony w 1923 r. wspominał, jak Niemcy wkroczyli na teren Wielkopolski w trzy dni po rozpoczęciu wojny. Wówczas wszystko uległo zmianie, w tym również stosunki między sąsiadami. Usłyszeliśmy historię o tym, jak wojna zmieniła nagle oblicza ludzi. Nie było już odtąd całkiem jasne: kto jest kim. Tuż po rozpoczęciu wojny pewien zaprzyjaźniony z rodziną naszego rozmówcy Polak, właściciel kilkudziesięcioghektarowego gospodarstwa, dostał wezwanie do wojska polskiego jako oficer.

I nagle po trzech dniach wrócił, co prawda jako oficer, ale – na czele wojsk niemieckich! Nagle odezwała się w nim krew niemiecka, poczuł się rodowitym Niemcem i w ten osobliwy sposób zmanifestował swe pochodzenie. Z dalszej relacji dowiedzieliśmy się, na czym polegała owa metamorfoza: „Ja od niego dosyć ucierpiałem. Nie wiem, co mu się we mnie nie spodobało: czy moje oczy, czy moja twarz, czy moja postawa. (...) Kiedyś wieczorem (...) jeszcze przed godziną policyjną, wyszedłem z domu z jednym znajomym; chciałem się czegoś dowiedzieć, zapytać (...) Ktoś jechał rowerem; kto – nie wiadomo, bo było późno. Ta osoba zeszła z roweru, podchodzi do mnie i pyta, czy jestem Polakiem czy Niemcem? Nie mogłem skłamać, bo przecież język by mnie zdradził. Powiedziałem, że jestem chłop. Jak mnie wyróżnął w twarz i powiada, czy nie wiem – już teraz po polsku – że należy zdejmować czapkę przed nim?! A ten człowiek biedę miał w czasie międzywojennym i nieraz otrzymywał posilek od nas. (...) Młodzież niemiecka, co w Polsce mieszkała, chodziła razem z nami do szkoły polskiej. I z nami byli kolegami. Jak przyszli Niemcy, to od razu wyciągnęli mundurki *Hitlerjugend* (...). I gdy spotkaliśmy się, to trzeba było schodzić im z drogi, bo można było oberwać. (...) Oni byli panami. Myśmy byli poniżej zwierząt”. Okazuje się, że w sytuacji kryzysowej ujawniają się nieoczekiwane drzemiące w człowieku zakorzenione stereotypy⁶.

Część osób powracających z Niemiec miała zamiar udać się jak najprędzej w swe strony rodzinne, do domu. Niekiedy jednak nie było dokąd wracać: „Ojciec mówił, że jedziemy znów na Polesie. Powiedzieli, że jeżeli chce jechać, to musi konie zdać i dalej jechać pociągiem, a tam musi przyjąć ruskie obywatelstwo. Więc ojciec powiedział wtedy, że nie. I tak zostaliśmy tu, w Miałach. Przyjechaliśmy tu 17 maja”.

Jak od strony formalnej wyglądało zasiedlanie nowych terenów, tzn. co się działo z przybyszami, kiedy przybywał transport, czy ktoś się nimi na miejscu interesował, czy się nimi zajmowano, czy w jakiś sposób im pomagano w tym pierwszym momencie?

Okazuje się, że na miejscu funkcjonowały już specjalne punkty PUR-u, czyli Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, który działał tam do ok. 1948 r. Wszyscy zebrani wyrażali się z uznaniem o działalności tej placówki; ceniono sobie jej pomoc przede wszystkim w znajdowaniu wolnych mieszkań, w zagospodarowaniu, w poszukiwaniu pracy; często zaś pomoc ta polegała po prostu na udzielaniu wsparcia materialnego. Generalnie, repatrianci – jak mówiono – otaczani byli dobrą opieką. Z drugiej strony biura PUR-u pełniły też nieco dwuznaczną funkcję, mianowicie każdy przybysz – zwłaszcza jeśli wracał akurat z Zachodu – brany był pod lupę, tzn. dokładnie badano jego przeszłość – „czy aby nie szpion, skoro wraca z Zachodu?”. I dopóki nie zbadano całej sprawy, wszelkich ewentualnych powiązań, kontaktów *etc.*, to „UB trzymało rękę na pulsie”. Taki punkt był m.in. w Dąbroszynie, gdzie niekiedy przez wiele tygodni koczowały ponoć całe transporty, zanim nie zakończono dochodzenia i nie wydano decyzji, czy „taki to a taki osobnik” może pozostać.

⁶ Por. uwagi na temat stereotypów W. Lippmann, *Public Opinion*. Nowy Jork 1945.

Co zastano? Jak wyglądała rzeczywistość? Jakie były możliwości znalezienia pracy?

Obraz zniszczeń na Ziemiach Zachodnich nie wszędzie był jednakowy. Zdarzały się miasta i miasteczka niemal całkowicie zrównane z ziemią, jak chociażby Kostrzyn, gdzie skala zniszczeń sięgała niemal 95%. Osoby, które przybyły tam tuż po zakończeniu działań wojennych stwierdzały, że nie było tam co odbudowywać, gdyż nie ocalał prawie ani jeden budynek. Witnica natomiast nie była aż tak bardzo zburzona; zaledwie parę budynków ucierpiało od kul – jak wspominają pierwsi przybysze: „W Kostrzynie mieszkałem niedługo, chyba z dwa, trzy tygodnie, bo nie było gdzie mieszkać i przyszedłem do Witnicy, bo tam (w Kostrzynie – dop. M. W.-M.) wszystko było zniszczone. W kolejowym budynku dach był zniszczony i schody, piętro całe zniszczone, no i na parterze jak padało, to leciało na nas”. Okazuje się, że jeszcze w 1948 r. Kostrzyn sprawiał wrażenie wymarłego miasta. Jedna z obecnych na sali pań wspomina: „(...) jak zostałam przyjęta do pracy w wydziale oświaty w Gorzowie w marcu 1948 r., to pojechałam prosto do szkoły do Kostrzyna. Wysłałam z pociągu i chciałam dowiedzieć się, gdzie ta szkoła. A tu nie ma kogo zapytać. Nie było żywej duszy. Idę kawałek z tego dworca, rozglądam się. Gdzie ta szkoła może być? Nadal nikogo, żeby zapytać. Od strony stacji zbliża się milicjant – już wtedy milicja była w Kostrzynie – i zapytany o szkołę mówi: »No, widzi pani, dobrze się złożyło, bo szkoła i milicja są w jednym budynku. To jedyny, jaki ocalał«. To tam, gdzie są teraz te duże koszary (...) i tam właśnie była szkoła na dole, a u góry milicja”. Nie był to wcale odosobniony przypadek, że w jednym budynku mieściły się wówczas różne urzędy, instytucje; nierzadko też budynek taki służył dodatkowo jako schronienie czy wręcz „przechowalnia” dla osadników, do czasu aż nie znajdzie się jakieś wolne lokum do zamieszkania.

Dziwne rzeczy działy się z kolei z tą substancją, która w miarę ocalała. Wiadomym było powszechnie, iż odbywały się masowo rozbiórki domów, poniemieckich dworców lub pałacyków i wszystko, co się nadawało jako materiał budowlany było wysyłane lub wywożone (oficjalnie, bądź potajemnie) w głąb kraju. Mówiło się, że przeznaczone jest to przede wszystkim na odbudowę stolicy. Ale przy okazji miało miejsce sporo „dzikich” rozbiórek, tzn. kto tylko mógł to i prywatnie na tym korzystał. Opinię taką potwierdzały liczne wypowiedzi. Najlepiej ów klimat oddaje poniższa wymiana zdań: „Kamienie, które można było zabrać – wywożono”, – „Kto i dokąd wywoził?”, – „Do centrali i sprzedawali tam”, – „Przyjechali na tydzień, zobaczyli i co im się podobało, to wywozili”, – „Jak Warszawa się rozbudowywała, to niektóre budynki były rozbierane i cegły wywożone były do Warszawy”, – „Mój mąż i ja odrabialiśmy takie »trzydniówki« tzn. rozbieraliśmy małe domki, które nie były jeszcze zajęte, składaliśmy cegły i to wywożono. To były wyznaczone takie »trzydniówki«, żeby odrabiać”. Okazuje się, że więcej osób uczestniczyło w podobnych „czynach społecznych”.

Jaki był stosunek ludzi do zastanego mienia?

Wygląd tych terenów tuż po wojnie był przygnębiający; stan niektórych miasteczek – opłakany. Czego bowiem nie dokonały działania wojenne, tego dopełnili szabrownicy, których – jak wynika z relacji – ściągano na te tereny

całe mnóstwo. Płądrowano wszystko, co się dało. Toteż przykry widok sprawiała nie tylko opustoszałe domy, ale i bałagan, jaki w niektórych panował. Po prostu niekiedy był to obraz nędzy i rozpaczy: „My zajęliśmy dom, co był całkiem pusty, tylko pełno papierów na podłodze. Nawet lustro ze szafy wyjęte. Jak przyszedłem, to już nie było tej Niemki (...). Jak my do tego domu przyszliśmy, to tylko: papiery, brud, porozwalane wszystko, rzeczy pobite, poniszczone, i to wszystko”.

W kilku wypowiedziach osób, które przybyły na samym początku, powtarzało się odczucie ogromnej pustki, jaką zastano; mówiono, iż miasta sprawiała wrażenie wymarłych: „(...) i przy tym ogromna ilość pustych domów jesienią, zaraz po wysiedleniu (Niemców – dop. M. W.-M.). Do tych domów się wchodziło, żeby coś skombinować...” Ktoś inny zauważył: „(...) jak myśmy tu przyjechali, to uderzyły nas puste mieszkania, wyszabrowane (...), dosłownie puste ściany”.

Całe mienie poniemieckie przeszło pod koniec 1945 r. na własność skarbu państwa: „W 1945 r. zapowiedziano, że to jest mienie poniemieckie i że będzie z tego rozliczenie. Początkowo zajmował się tym Urząd Skarbowy; potem powołano specjalną instytucję – Urząd Likwidacyjny. Można powiedzieć, że to było w tym czasie takie drugie UB. Dla wielu ludzi groźniejsze, ponieważ dotyczyło spraw najbardziej dla nich żywotnych”. Usłyszeliśmy, w jaki sposób dokonywało się w praktyce przejmowanie owego mienia: „(...) oni po prostu wszystko zabierali, rekwirowali, jak się stawiało opór, bo »to jest germańskie i koniec, bez gadania«”. Później można było odkupić niektóre sprzęty, czy meble; jedna z pań wspominała: „Ja mam do dzisiaj wszystkie kwity, jakie meble od tego Urzędu Likwidacyjnego odkupiłam”.

Dowiedzieliśmy się przy okazji, w jaki sposób tworzone takie grupy operacyjne i kto wchodził w ich skład: „(...) z ludzi, którzy przyjechali tutaj transportem ze Wschodu i zamieszkali w szkole czekając, aż się opróżnią mieszkania, z tych ludzi utworzono ekipy i te ekipy chodziły po domach i zabierały wszystko. Kiedy ja przyjechałem tutaj jesienią, żeby przygotować mieszkanie (...), zastałem w budynku magistratu dwa czy trzy pomieszczenia pełne szczotek – wszystkie rodzaje szczotek aż po sufit, szczotki, szczoteczki... To zrobiło na mnie (...) ogromne wrażenie. Nie mogłem pojąć, co to jest. Ja przez długi czas byłem przekonany, że to z Oświęcimia tu przywieziono. Okazało się, że nie. To właśnie tu segregowano rozmaite rzeczy – talerze szły dwa piętra wyżej *etc.*, inne urządzenia rozparcelowano w innych magazynach. Latem 1945 r. te magazyny Rosjanie nie wywieźli tylko przekazali władzom polskim na mocy obustronnych porozumień. W ten sposób władze miejskie znalazły się w posiadaniu tego”. Zapytaliśmy, co się stało z rzeczami z tych magazynów? Powiedziano nam, że częściowo rozdysponowano je wśród osób, które przybyły tu bez niczego; część rzeczy natomiast sprzedawano za pokwitowaniem, co potwierdza kilku uczestników: „Są pokwitowania. Był taki dramatyczny raport na posterunku milicji: na dworcu znaleziono zmarłego, starego repatrianta z Wilna. Obok niego znaleziono dziesięć worków szmat. To był cały jego dobytek, z jakim on tutaj przyjechał. I takim ludziom, jak przyjeżdżali, to trzeba było dawać rzeczy z tych magazynów”.

Nie zawsze zostało dopowiedziane do końca przez kogo zostały te domy ogołocone; w podtekście sugerowano, iż czynili to zarówno zwykli szabrownicy, jak i Rosjanie, którzy wywozili dokądś (czasem padały określenia: „do siebie”) niektóre co cenniejsze rzeczy, sprzęty, narzędzia, części maszyn. „Jak

żeśmy tu przyszli, w maju (...) to połowa Niemców już uciekła, w związku z tym domy były puste, nie było gospodarza. I Rosjanie zabierali to wszystko do magazynów (...). Jeszcze było wtedy mało Polaków. (...) Rosjanie magazynowali te rzeczy po stajniach, stodołach, szopach, a później to zabierali...". Nie tylko zresztą miasta sprawiały opustoszałe wrażenie. Podobnie było i na wsiach: „Myśmy jesienią 1945 r. pojechali jablek szukać. Jedziemy tym wałem, a tu – puste chałupy. Jedna gdzieś, druga gdzieś, żywej duszy. Okna pootwierane, pierzyny wyrzucone. Ta wieś robiła takie właśnie wrażenie”.

Zarówno tuż po wojnie, jak i jeszcze wiele lat później znajdowano w opustoszałych domach, a raczej piwnicach, bądź skrytkach rozmaite rzeczy: „Tam był taki duży piec. Ojciec stwierdził, że jest za duży, więc – mówię – wezmę i rozbiorę. I jak kawaleczek rozebrał – bo był murarzem – to wyciągnął wielką wannę, w której było dużo pieniędzy. Same wielkie pieniądze. Ale my, mniejsze dzieci i chłopaki, wszystko to poniszczyliśmy. (...) Były tam też: mydło, konserwy, duże puszki kilogramowe. Te puszki zjedliśmy, bo były bardzo smaczne. Do pieca przymurowany był, tak jakby szerszy piec”. Inna pani wspomniała: „Ja przyjechałam do Witnicy w 1960 r. Zamieszkałam u teściów na osiedlu południowym i kiedy weszłam (bez obaw zresztą) do piwnicy, to tam właśnie, w stercie gruzów i śmieci znalazłam bardzo fajną niemiecką porcelanę z napisem i do dziś mam taką bardzo ładną filiżaneczkę z podstawkiem z napisem niemieckim. Trzymam to na pamiątkę”.

Okazuje się, że w tych rejonach nie niszczone były rzeczy, czy też przedmiotów poniemieckich. Nie było zawziętości w tępieniu wszystkiego, co niemieckie. O ile się coś nadawało do użytku, to korzystano z tego bez specjalnych uprzedzeń: „Naczynia poniemieckie, np. do soli czy cukru, to ludzie brali do własnego użytku. Po jakimś czasie to się tłukło, ale nie było bezmyślnego celowego niszczenia”.

Stopniowo zaczęto też tworzyć pierwsze zręby nowej władzy na tych terenach. „Kostrzyn był całkowicie zniszczony. (...) Dopiero potem zaczęto się zastanawiać: skoro parę ludzi tam mieszka, to czas, żeby tam sołtys był. A jeśli sołtys (...) to może miasto? A może burmistrz? I tak to trwało”. Skąd rekrutowali się przedstawiciele władz i urzędów państwowych, funkcjonariusze milicji czy innych instytucji? Odpowiadano nam ze śmiechem: – „z łapanki”. Widząc nasze zdziwione miny, objaśniano, iż to prawda, albowiem do wykonywania rozmaitych funkcji brano wtedy każdego, kto się w jakimś sensie do tego nadawał, bez żadnego przygotowania. Tak więc byli to ludzie przypadkowi, toteż często zdarzało się, że był to niestety wybór chybiony. Niektórzy wykorzystywali bowiem swój urząd dla osiągnięcia osobistych korzyści. Niekiedy zaś okazywało się po czasie, że co poniektórzy zatajali swą nie zawsze chlubną przeszłość, i gdy później prawda wyszła na wierzch trzeba było ich zwolnić. Opowiedziano nam na przykład następującą historię: „Pan Sz., miał sposób bycia isticie jaśniepański i właściwie psychicznie również był kimś takim. Był panem na włościach, panem nie tylko na młynie, ale on miał też kontakty i dzięki tym kontaktom właśnie tutaj przyjechał, no i w związku z tym był nietykalny. Mówiło się, nawet milicjanci mówili: »Sz. nikt nie tknie«. Do niego z powiatu przyjeżdżano na polowanie... (Dzięki temu ten ośrodek tam istnieje!). Ale właśnie zaczęło się wokół niego trochę szumu. On zaczął wpływać na życie miasta (w Pyrzanach młyn komuś zabrał, tam gdzieś coś jeszcze...); zaczął odgrywać coraz większą rolę. Ale tu są w aktach miejskich donosy na niego, że »handluje«, że »w beczki ładują słoninę i wywożą za granicę do Berlina«, że »jakieś podejrzone typy spotykają się u niego«, że ma

»jakieś konszachty«. Aż tu któregoś dnia wybuchł skandal. Przyjechało UB i zaarrestowało gościa. Okazało się, że to był konfident, współpracownik *Gestapo*, gdzieś z terenów woj. łódzkiego, spod Piotrkowa Trybunalskiego. I tam miał rozprawę sądową». Takich historii można by przytoczyć zapewne znacznie więcej.

Nic więc dziwnego, iż w rezultacie w początkowej fazie tworzenia nowych władz samorządowo-gminnych ludzie pełniący na tych stanowiskach rozmaite funkcje zmieniali się często jak rękawiczki. Usłyszeliśmy na przykład, iż w jednym roku Witnica miała kolejno aż sześciu burmistrzów!

Każdy korzystał z takich możliwości zarobkowania, jakie się aktualnie nadarzały. Ludzie radzili sobie, jak umieli. Z wielu wypowiedzi wynikało, że często zmieniano miejsce pracy. Sporo osób znalazło zatrudnienie w cegielni, w fabryce ceramiki, w fabryce celulozy, w fabryce mebli; do tej pory ludzie wspominają pracę w „kaflarni”, w „ziemniaczance”. „Usadowiłem się najpierw w Białczyku w 1947. I tak pomału jakoś się tutaj zagospodarzyłem. Zacząłem pracę w cegielni, w ceramice. W 1949 poszedłem do Kostrzyna. Tam pracowałem w nieruchomości, ale nie długo, bo miałem iść do wojska, ale jakoś mnie nie wzięli (...) i wróciłem z powrotem do ceramiki”. Nasz rozmówca przypomniał też pewien incydent, który wiele mówi o klimacie, jaki panował wówczas wokół Ziem Zachodnich, o propagandzie mającej na celu zwerbowanie ludzi, by osiedlili się na nowych terenach. Mianowicie, gdy pracował jeszcze w fabryce celulozy i zajmował się wraz z innymi odgruzowywaniem i rozbiórkami domów, to cegły wywozili na odbudowę Warszawy, a przede wszystkim „na Pałac Kultury”. W ten sposób znalazł się on w swych stronach rodzinnych, czyli w dzisiejszym województwie siedleckim. Był rok 1950. Jakież było jego zdziwienie, kiedy wyczytał w tamtejszej gazecie, że „celuloza” przyjmuje 300 ludzi do pracy, a on pracował przecież w tejże „celulozie” i wiedział, że z rządu nadeszła już decyzja o tym, iż „celuloza” jest przeznaczona do rozbiórki. Dla niego było więc ewidentne, że to wyłącznie celowe działanie propagandowe, i że w gruncie rzeczy chodziło jedynie o to, by zachęcić jak najwięcej ludzi do przenoszenia się na tereny zachodnie, próbując ich skusić choćby obietnicą zapewnienia miejsca pracy.

Motyw wędrowki za pracą przewijał się ustawicznie w wielu wypowiedziach; podejmowano się skądinąd rozmaitych zajęć: „Ojciec koniecznie chciał mieć gospodarstwo, ale mama nie chciała, a że byłam już 18-letnią dziewczyną, więc zabrał mnie na to gospodarstwo (z konińskiego – dop. M. W.-M.), a matula została z czworgiem młodszych dzieci. Poszłam więc do styropiarki, ale przerobiłam tam tylko sezon. Pojechałam do domu na Boże Narodzenie, a później na sezon wiosenny przyjechałam z powrotem, ale już mnie nie przyjęli. Poszłam do tartaku. Tam przerobiłam rok czasu i później poszłam do rejonu dróg publicznych. Tam pracowałam chyba dwa lata. Stamtąd poszłam do kaflarni. Przerobiłam w niej dwa miesiące i w 1953 r. poszłam do fabryki mebli, gdzie były akurat przyjęcia. Tam pracowałam do 1975 r.”.

Ludzie często zmuszeni byli zmieniać miejsce zamieszkania w poszukiwaniu pracy: „(...) przyjeżdżam tutaj, a tu chałupa spalona. Jak odchodziłem wszystko było w porządku. Zostałem tu, pracując początkowo w komendzie rosyjskiej jako rzeźnik-kiełbaśnik. Jeszcze front się nie skończył. Potem pracowałem w tartaku. Zakładaliśmy tartak, bo dużo części wywiezli Rosjanie. Trzeba było jeździć do Poznania szukać pasów transmisyjnych i innych. Po tartaku pracowałem w rejonowej spółdzielni w Kostrzynie, potem w gminnej spółdzielni Bogdaniec, w Witnicy, w PZGS w Gorzowie itd.”

Rzeczywistość wymuszała na ludziach chwytanie każdej okazji, by utrzymać jakoś rodzinę; funkcjonował handel wymienny, bądź płacono w towarze: „No, i oni jeździli na ziemniaki do Tarnowa. (...) To był październik: ja jechałam, ten pan jechał i moja ciocia. Jechaliśmy na te ziemniaki i oni nam później płacili właśnie ziemniakami, tak że myśmy zarobili tych ziemniaków na całą wiosnę. A później jeszcze chodziliśmy kroić kapustę; trzeba było czyścić, wykrawać głąb itd. I oni też nam kapusty dawali. Beczki dębowe ojciec przywiózł ze sobą; mieliśmy szatkownicę (do dziś ją mamy) i myśmy poszatkowali tę kapustę; tak że mieliśmy i ziemniaki, i kapustę”.

Jakie były pierwsze spostrzeżenia nowych osadników, kiedy przyjeżdżali na te tereny?

Ich odczucia były różne w zależności od tego, skąd kto przybywał. Każdemu utkwiło coś innego w pamięci – jednemu pruskie mury, innemu murowane domy, a jeszcze innemu słabe ziemie. „Moje pierwsze wrażenie, jak jechałam z mamą tutaj, to było raniutko – i zobaczyłam te niemieckie tereny już za Gorzowem. I co mnie tutaj uderzyło? – Te pruskie mury, te stodoły z pruskich murów. U nas w Polsce tego nie było. Ja tak się przyglądałam: co to za budynki z tymi krzyżami takimi? (...) U nas w Lubelskiem nie było takich”. Inna wypowiedź: „Co mnie zdziwiło? Stale mówili, że na zachodzie wszystko murowane. Ale strzechy też jeszcze tu widziałem i słomą kryte domy, i trzciną. (...) Były też po wsiach, nawet przy traktach, takie słabiutkie gospodarstwa. Nawet mieszkalem w takim gospodarstwie, gdzie właśnie słomą daszek był kryty”. Warto przytoczyć może jeszcze jedną dłuższą opowieść, gdyż oddaje ona w pełni klimat owego zderzenia z nieznanym, z obcą ziemią: „(...) jadę tym pociągiem z jakimś znajomym, który mnie tutaj prowadził i pierwsza rzecz (...) to ta egzotyka granicy. Ja po raz pierwszy jechałem pociągiem w tym czasie mając piętnaście lat. Odnosiłem wrażenie, że jadę rowerem bez powietrza (...). I potem granica... Jak to będzie na tej granicy? Pochodzę z terenów województwa tuckiego, z miasteczka, gdzie chałupki kryte były strzechą, a miejskie domy papą. Natomiast na wsiach, połowa domów, to jeszcze była strzecha. Była w nich jedna izba, gdzie była podłoga (to była taka izba pokazowa), a w pozostałych była gleba. Piec był gliniany, nie kaflowy. (...) U nas były zwykle, małe piece, a w każdym razie nie kaflowe. No i uliczki u nas z kocimi łbami, brukowane. I ja teraz na tej granicy widzę, że już poznańskie się zaczyna – same murowane domy. (...) Mnie ta granica pasjonowała. (...) I pierwsze, co mnie tu uderzyło, to ta kostka (...) ulica brukowana zamiast kocich łbów! Bardzo gładka, bardzo ładna kostka. (...) Po paru dniach powiedziałem, że ja nie chcę tam wracać, ja chcę tu być, bo tu jest zupełnie inaczej. I kiedy potem jeździłem co jakiś czas w odwiedziny do krewnych, to z wielką radością wracałem tutaj, bo to było coś innego. Potem pojawił się problem znalezionych w domu rozmaitych rzeczy, np. odkurzacz. My się domyślaliśmy, że to jest do odkurzania, ale kto by takim dziwadłem odkurzał?! W związku z tym – ten samochodzik na kółkach, to była fajna zabawa! Te rury się powyrzucało, bo to niepotrzebne i to służyło do zabawy. Albo (...) mama miała prodiż. To na dole, to się przyda do czegoś, wiadomo – można coś w tym ugotować, ale ta pokrywka... to się wyrzucało, bo po co komu taka pokrywka? (...) Następna sprawa: w każdym prawie domu był dywan. U nas tam były

chodniki robione ze szmatek, a tutaj taka masa dywanów! I tyle pianin! Chociaż były zgromadzone w magazynach, to tutaj jeszcze się je gdzieś znajdowało. Zdumiewająca właśnie ta ilość pianin w tym małym miasteczku!?”

Wszyscy zgodnie potwierdzali, że jednym z większych problemów, jaki im doskwierał w tamtym czasie, zwłaszcza zaś mieszkańcom okolicznych wsi, była ogromna plaga myszy, które niszczyły zbiory: „Wszystko nie obsiane, dopiero latem mój ojciec ze swoim bratem zasiali pszenicę (...). Zaorali, zasiali, ale nic nie zebrali, bo wszystko myszy od dołu ścięły, razem z kłóskami”; ktoś sobie przypominał, że faktycznie: „Tam było dużo myszy. Jak szliśmy na łąki siano wykosić, to tam co raz to gniazdo na wierzchu; co kawałek gniazdo było”. Nie tylko myszy dokuczały zresztą nowym mieszkańcom, ale i pchły: „(...) dostałem zlecenie, żeby zrobić inwentaryzację domów na zlecenie komunalne, wymierzyć co trzeba itd. Poszedłem na ulicę Sportową (...), wymierzyłem, wychodzę i coś mi tak jakoś nieprzyjemnie. Patrzę: a tu jedna i druga noga – całe czarne! To coś niewiarygodnego!”

Jakie były odczucia osadników po przybyciu na te tereny, czy uważano te strony za swoje czy obce?

Na ogół ustawicznie powracano do poczucia tymczasowości, jakie długo było ich udziałem. Niemal wszyscy byli przekonani, że lada moment wrócą z powrotem w swe strony rodzinne. Stąd wiele osób przyznawało otwarcie, że na początku w ogóle nie inwestowało w nowe mieszkania, w rozwój gospodarstwa. Uważano, że to się nie opłaca, gdyż w każdej chwili można stracić swe nowe domostwo. W podświadomości tkwiła wciąż obawa, że dawni właściciele powrócą i wszystko trzeba będzie oddać; mówiono: „(...) ludzie nie zagospodarowywali gospodarstwa dlatego, że to tymczasowe i że w każdej chwili mogą być usunięci z tych terenów”, „(...) tymczasowe i będziemy musieli się wynosić”. Niektórzy przezornie tak się ulokowali, żeby mieć jak najbliżej w razie możliwości wyjazdu; jeden z uczestników wspominał: „Myśmy zamieszkali zaraz przy stacji (...) z tym zamiarem, że blisko stacji, to będziemy zaraz wracać z powrotem. Myśmy nie planowali tu mieszkać, nie. Myśmy chcieli wracać. Nikt się nawet nie rozpakowywał. Siedzieliśmy na pakach, na skrzyniach, gdzie kto co miał. Nikt się nie rozładowywał (...). Później znaleźliśmy gospodarkę (...) i tam już żeśmy pracowali z rodzicami na tej gospodarce. Miałem wtedy 17 lat”. Mimo to jednak nie było poczucia obcości: „(...) przyszłam tutaj do pracy; normalna kolej rzeczy, ale obco – nie czułam się”.

Początkowo myślano, że to potrwa najwyżej rok i ludzie żyli wciąż nadzieją, że może jeszcze uda się wrócić „na swoje”. Jedna z pań stwierdziła, iż jej ojciec przeżył szok, ponieważ musiał zostawić tam na Wschodzie dom i dorobek całego swego życia, i początkowo nawet nie chciał podjąć żadnej pracy; w ogóle też nie angażował się ani politycznie, ani społecznie: „(...) on powiedział, że tego domu nie będzie tynkował. Wszystkie domy były zagospodarowane, a jego chałupa była najgorsza w całej Witnicy. Teraz trochę tam się zmieniło. On to robił ostentacyjnie, wyzywał swoje dzieci od najgorszych, bo chciały się uczyć, i dlatego, że się angażują tutaj w różne sprawy, że »po co on się dał namówić, że powinien był tam zostać«. On był chyba najdłuższym takim zbuntowanym człowiekiem, który nie zaakceptował tego stanu rzeczy, jaki był”.

Jak wynika z różnych relacji panował wówczas spory bałagan w przydziale nieruchomości i pozostawionego mienia poniemieckiego; wpłynęło to zniechęcająco na osadników, powodowało frustracje i niezadowolenie: „(...) myśmy tam mieli młyn i to trzeba było zostawić. I może przez to właśnie ojciec się załamał, bo jak przyjechaliśmy, to ojciec pojechał do starostwa, do Gorzowa i dali mu przydział na młyn (...). Ojciec tam turbinę urządzał, robił coś przy tym (...). Przyjeżdża, bo musiał gdzieś wyjechać na kilka dni, a tu już był nowy właściciel. (...) Ojciec pokazuje im (władzom – dop. M. W.-M.), że przecież nie zajął tego młyna bezprawnie, tylko miał dokumenty ze starostwa. Ale tamten też. W końcu ojciec tam pojechał, a oni zaczęli coś kręcić, że tam zmieniona nazwa, że to jest inny młyn, a tamten dalej to był spalony; a tam kamień na kamieniu, tam nic nie było. No, i ojciec machnął ręką, i może to go też trochę zniechęciło. Wprawdzie mu zapłacono za to, co ojciec tam zrobił, nie można powiedzieć. (...) Ojciec się później najął i pracował w tej tzw. ziemniaczance, gdzie pracował aż do emerytury. To były zakłady przetwórstwa ziemniaczanego”. Jak więc widzimy również dla ludzi ze Wschodu przesiedlenie było tragedią życiową, z którą długo nie umiano się uporać.

W końcu jednak powoli przekonywano się, że nie ma perspektyw na powrót i trzeba rozpakowywać się, i tak już zostało. Ten okres niepewności minął mniej więcej w połowie lat siedemdziesiątych. Za Gierka dopiero – mówiono – zostały sporządzone akty notarialne z tytułu zamiany mienia (choć miało to raczej charakter symboliczny) i dopiero wówczas zaczęto stopniowo uważać te ziemie za swoje, rodzime.

Jeśli chodzi o nastroje i stosunki międzyludzkie, to podkreślano, iż nie było między ludźmi wrogości. Wynikało to być może z faktu, iż większość ludności napływowej pochodziła ze Wschodu, czyli reprezentowała ten sam krąg kulturowy. Mówiono na ogół, iż wzajemne stosunki między osadnikami z różnych krańców Polski, mimo różnic kulturowych, układały się nie najgorzej. Jakkolwiek dostrzegano pewne zróżnicowanie językowe między ludnością przybyłą ze Wschodu a ludnością z Poznańskiego, ale nikomu to specjalnie nie przeszkadzało. Pewne nieporozumienia wynikały jedynie z powodu używania odmiennych określeń, które mogły budzić różne skojarzenia. Jedna z pań opowiadała zabawną historię, otóż z powodu niezrozumienia pewnego żartu językowego, który ona niewłaściwie odczytała, omal nie straciła „swego kawalera”. Na pytanie, czy znaczący był inny akcent, inny sposób mówienia, padła odpowiedź: „Raczej to się nie dało rozróżnić, z mojej strony, skąd ja przyjechał, bo tu większość ludzi była z tamtych stron, z Podlasia. I te obyczaje niewiele się różniły. Ale w stosunku do ludności z tych terenów tutaj, z Poznańskiego, to tak. To można było rozróżnić. Ja np. nie wiedziałem, co to jest »kanka na mleko«, czyli »bańka«. »Kanka« była już tu w Poznańskim”.

Część zebranych uważała jednak, iż różnice te były bardziej zauważalne niż się do tego przyznawano. Pozornie wydawało się, że wszystko jest w porządku, lecz pewne zadry i nie zablźnione urazy przetrwały nawet po dzień dzisiejszy: „Do szkoły chodziliśmy wspólnie. Nie było żadnej różnicy”, – „Między nami dziećmi – nie, bo to była taka młodzież dorabiająca, ale między rodzicami naszymi, to była różnica. (...) To się wyczuwało. Po prostu, jeden na drugiego patrzył zaraz nie tak i mówił: »A, ty z Ukrainy, a ty Poznaniak, a ty Niemiec«”. Inna osoba dorzuciła: „Dla dorosłych to był naprawdę problem. To była różnica kultur i nie tylko kultur. To były pozostałości jeszcze z okresu rozbiorów, ale to dużo szersza sprawa”.

Naturalnie miały miejsce zwyczajne konflikty międzyludzkie, zwłaszcza gdy chodziło o jakieś sprawy bytowe: „(...)a tam poszło już o coś zupełnie innego, bo żonie zawiadowcy spodobały się jakieś meble i koniecznie chciała nas z tego wysiadać. Więc z Krzyża dzwonili do nas i mówią: »Wy się pilnujcie, bo zawiadowczyni skargi na was śle«. No i w lipcu zostaliśmy przeniesieni: jeden do Gorzowa, jeden do Krzyża, a ja do Kostrzyna”. Nikt by nie przypuszczał, że takie względy mogły decydować o zmianie miejsca pracy czy przeniesieniu do innego miasta.

Stosunek do Niemców nie był nacechowany nienawiścią. Jak twierdzono: „część Niemców uciekła razem z frontem, a tutaj zostało niewielu”. Skądinąd, jeśli chodzi o liczbę Niemców, którzy przebywali jeszcze na tych terenach, to panowały różne opinie. Przedziwna rzecz, ale nie można się było ich doliczyć. W jednych raportach stwierdzano ponoć, iż wszystkich Niemców już wysiedlono, a z innych wynikało, iż ich liczba naraz wzrosła. Mogło to wynikać stąd, iż niektórzy Niemcy wracali ponownie, by poszukać swych krewnych, bądź po część swego dobytku. W każdym bądź razie tak tłumaczono owe sprzeczne meldunki: „Tu było ok. 200 Niemców; 80 zostało po wysiedleniu. I potem dochodzili następni (...). Tu się mieścił obóz skoszarowany tych Niemców, którzy przejeżdżali tu skądś szukać krewnych po wojnie. I do 1948 r., co ich usunęto, to się pojawiali nowi. Pracowali w restauracji (...), jako pomoc domowa, na posterunku; w szkole woźnym też był Niemiec...”

Informacja o istniejącym obozie przejściowym dla Niemców powtarzała się i w innych wypowiedziach, choć ludzie nie zawsze sami tak do końca wiedzieli, o co chodziło i co się wokół nich działo; być może też nie to było dla nich wtedy najważniejsze; byli po prostu pochłonięci własnymi sprawami dotyczącymi bezpośrednio ich egzystencji, takimi jak zapewnienie dachu nad głową, utrzymaniem rodziny, poszukiwaniem pracy, i los Niemców najmniej ich w tym momencie interesował. Ale mimo to zaobserwowali, że gdzieś tam ci Niemcy byli przemieszczani: „to jest dziwne, bo ja nie widziałem, żeby był jakikolwiek ruch pieszych ze stacji Kostrzyn. A jak już mówiłem tam był kiedyś jakiś łagier, nie wiem co za łagier, ale tam było sporo baraków i tam ich osadzano. A potem w ciągu dnia czy wieczorem czy w nocy wyprowadzano ich stamtąd, bo przychodziły następne transporty i pieszo przechodzili na drugą stronę”.

Niektórzy jednak byli bezpośrednio świadkami wysiedleń (owych „dzikich wysiedleń” między czerwcem i lipcem) i do dziś jeszcze mają pewne drastyczne sceny przed oczyma: „Latem 1945 r. doszło do wysiedleń (...). To było straszne – mówię nie tylko o humanitarnym aspekcie tej sprawy, ale i czysto ekonomicznym. (...) Natychmiast jeszcze w trakcie wysiedlania, kiedy jeszcze się ci Niemcy nie załadowali, to już zaczęto sobie wrywać ich rzeczy. (...) Jedna Niemka zakładała kurtkę swojemu synowi, a sąsiadka wrywała jej tę kurtkę i zabierała jej. (...) Takie fakty miały miejsce”, lub: „Chora Niemka leżała a jacyś ludzie przyszli, skradli jej całą pościel i Niemkę zostawili” – „To byli repatrianci, szabrownicy” – usprawiedliwiano się.

Nie były to wcale odosobnione przypadki; kiedy poruszyliśmy ten temat, zaraz zaczęto sobie przypominać podobne przykłady: „W PUR-ze pracował pan X – i to od wielu osób słyszałem – że kiedy zrobiono zbiórkę osób wysiedlanych na dziedzińcu szkolnym, to zaczął im wrywać i zabierać walizki”. Mówiono, iż wysiedleń dokonywała milicja, ale chętnie uczestniczyli w nich też Rosjanie: „Napatoczył się na nich znajomy Rusek i mówi: »Pójdę

z wami«. Weszli do jakiegoś domku. Akurat rodzina siedziała przy stole i jadła. To ten Rusek z pepeszy w sufit..., a tynk spadł – opowiadając o tym zdarzeniu milicjant stwierdził ze swoistą satysfakcją: »Te Szwaby miały takiego pietra, że hej!«”.

Swoją drogą, istniały ponoć listy Niemców z tych terenów skierowane do władz polskich z prośbą, że oni chcą tu pozostać, a i nowi mieszkańcy Witnicy nie mieli rzekomo nic przeciwko temu, gdyż w niektórych dokumentach znaleźć można wzmianki w rodzaju: „my chcemy, żeby oni tu zostali”. Na nic się to jednak zdało, gdyż władze – jak mówiono – „napierały na to, że do takiego a takiego terminu ma być tylko tyłu Niemców, a po tym terminie nie ma być już żadnych Niemców”, np. w aktach urzędowych odnaleźć można adnotację, iż do grudnia/listopada 1947 r. nie ma być ani jednego Niemca w Witnicy, i w ślad za nią meldunek: „Nie ma już Niemców w Witnicy”. Ale w następnym miesiącu okazuje się, że znowu są; szukają krewnych. W. W. Ronge na podstawie opowieści zebranych podczas *Erzählrunden* po stronie niemieckiej dorzucił informację, iż sporo Niemców potwierdza fakt, że wielu z nich z powrotem przychodziło na tę stronę; jeden z nich doszedł ponoć aż do Królewca i tam żył do 1949 r. Nic więc dziwnego, że nie można się było ich doliczyć, gdyż w tym pierwszym okresie wciąż się przemieszczali, i jeszcze w 1948 r. w Witnicy było skoszarowanych iluś tam Niemców – twierdzono.

Ciekawa była opowieść pewnej Niemki, która przywędrowała z mężem tuż po wojnie do Polski i do chwili obecnej mieszka w Witnicy, i jest z tego powodu bardzo zadowolona. Otóż swego męża, Polaka poznała w Niemczech podczas wojny, kiedy pracował u pewnego bauera przez pięć lat. Zapytana o to, co ją skłoniło do przyjazdu do Polski, odpowiedziała, iż uciekła z mężem w transporcie do Przemyśla, gdyż chciała zobaczyć, jak wygląda ten obcy kraj, ta Polska; podróż trwała 11 dni: „Jechaliśmy przez całą Polskę (...) Jelenia Góra, Śląsk, Lwów, PGR Stanowice (...). W siedmiu miejscach byliśmy; tylko wędrowaliśmy. A tu w Witnicy jestem od 1953. I dalej nie pójdę. W stosunku do mnie Polacy byli zawsze bardzo dobrzy”. W Niemczech ma nadal trzech braci i siostrę (rodzice już nie żyją), ale wcale jej się nie spieszy, żeby tam pojechać i odwiedzić rodzinę: „nie chcę tam jechać i nie wiem dlaczego; paszport mam, ale nie chcę”. Rodzina mieszka pod samą granicą francuską, w okolicach Mannheim, Ludwigshafen, Obersheim. Kiedy przyjechała do Polski, nie знаła języka polskiego i trudno jej się było go nauczyć; nawet do dziś jeszcze mówi z pewnym akcentem. A po niemiecku też już nie za bardzo. Wyszła za męża, gdy miała 18 lat, i w rok później: „mąż ciągnął mnie do ruskiej granicy. Ale tam było źle. Tam takie domy były, że nie chcę mówić. Glina, piec...i tam spali. Jeszcze czegoś takiego nie widziałam; to było za Przemyślem. Las dookoła, wilki tam były (...). Dziecka jeszcze nie mieliśmy, dopiero w 1947 r. syn się urodził. Uciekłam, nie wytrzymałam; ta teściowa, to kawał diabła było; teść był dobry, on po niemiecku mówił, ale on był z Przemyśla. (...) Dzieci wychowaliśmy, pożeniły się. Jestem sama teraz. Ale ludzie są dla mnie dobrzy, wszyscy. Sąsiadów mam bardzo dobrych (...). Tutaj w Polsce pracowałam w tartaku, w »ziemniaczance«, w ogrodnictwie”.

O tym, jak ceniono sobie wiedzę, umiejętności i solidność niemiecką świadczy m.in. to, iż chętnie korzystano np. z ich usług medycznych, o czym świadczy następująca wypowiedź: „W 1950 r., kiedy zwichnęłam rękę, ojciec zaprowadził mnie właśnie tam (do autochtonów – dop. M. W.-M.) i tam mi ją naprawili. To był weterynarz, ale zajmował się takimi rzeczami i do dzisiaj mam spokój”.

Jakie były zwyczaje i obyczaje?

Podkreślano cały czas, że generalnie panował wówczas ogromny zapał do pracy, ale poza tym chętnie się bawiono: „Było tu wesoło z samego początku. Ludzie byli zadowoleni. Zabawy były. Dosyć fajnie było. Lepsze chęci do pracy i współpracy niż w obecnym czasie”. W kilku relacjach powtarzało się określenie „tłoka”, „organizowano tłokę”. Widząc nasze zdumione miny, objaśniono nam, co to takiego było. Otóż był to zwyczaj przeniesiony z terenów wschodnich: „Na Wschodzie, jak zaczynało się darcie pierza, albo jakieś prace rolne, to spraszało się sąsiadów i potem płacono im przyjęciem i muzyką. Organizowano tzw. tłokę. Kiedy zaczęto tu tę tłokę organizować, to Poznaniacy zaczęli się z nas śmiać, że my robimy jakieś »tłoki« no i zaprzestano (...) gdzieś po dwóch latach”.

Tłokę organizowano też po zbiorach kukurydzy, którą siano niejako z przyzwyczajenia „(...) i jak tej kukurydzy jest nasiane, to trzeba ją szybko zebrać, bo spleśnieje nie obierana. I robiło się właśnie taką tłokę. Ludzie schodzili się wieczorem, obierali. I dawało się im kolację, a później (...) muzyka, skrzypce”. Niektórzy uczestnicy pamiętali też, że do tej kukurydzy były takie specjalne budowle i że „podobne kośnice były do tytoniu, wiaty takie z daszkiem. Przez dach się sypało, a poniżej były drzwiczki na zawiasach, że się to wybierało i łuszczyło ręcznie wieczorami”. Można by powiedzieć, że pomoc sąsiedzka przyczyniała się do podtrzymywania życia towarzyskiego i pielęgnowania obyczajów. – „I te poznańskie »Pyry« zniszczyły ten piękny obyczaj!” – wtrącił jeden z uczestników; na co rozmówczyni strasznie się oburzyła: „Panie, nie można tak się nastawiać do ludzi – »Pyry«!” I na to padło wyjaśnienie: „Na Poznaniaków – »Pyry« a na nas »Zabugole« się mówiło”. Te określenia rzeczywiście funkcjonowały, kiedy chciano komuś dokuczyć; ale raczej tylko poza plecami rzucono tymi pogardliwymi epitetami.

Zanikły też niektóre obyczaje związane z obrzędkiem weselnym. Na przykład na Wschodzie był taki zwyczaj, że wesela wyprawiało się częściowo u pana młodego, a częściowo u pani młodej; tutaj początkowo jeszcze to funkcjonowało, ale po jakimś czasie i tego zwyczaju zaniechano: „Dwa domy spotykaliśmy jeszcze nawet we własnej rodzinie, którą mamy we wrocławskim. To było ostatnie wesele, gdzie też były dwa domy. Pani młoda miała swoich gości, a pan młody swoich. To byli ludzie z własnych stron, spowinowaceni, spokrewnieni; nie można było nikogo pominąć, a nie było pomieszczeń, żeby zrobić wesele, dajmy na to, na co najmniej 200 osób. Nie było w tym czasie takich świetlic, nie było takich domów, żeby można było zrobić coś takiego wspólnie. Robiło się więc wesele na wiosnę, po Wielkanocy, żeby było ciepło. Tańczono wówczas na wolnym powietrzu. (...) Po kościele część gości szła do pani młodej – u niej był poczęstunek. Później pana młodego zabierali swoi goście do siebie, a następnie na kolację przychodziła pani młoda. I tak wędrowali od domu do domu. Parę godzin tu, parę godzin tam”. Inna uczestniczka spotkania relacjonowała: „A w naszych stronach, jeśli było się z innych miejscowości, to wtedy pierwsze wesele było u młodej, a młodego gościa czekali i tym był jakiś nieduży poczęstunek, i czekali aż młoda przyjedzie, ale goście nie przyjeżdżali od młodej do młodego, tylko sama młoda z mężem przyjeżdżała i gościli się. I zależy gdzie mieli zamieszkać. Jeżeli u młodego, to ona ze wszystkim przyjeżdżała. Jeszcze był taki zwyczaj, że wiano na wozach wieźli, jakąś skrzynię; nawet krowy prowadzili za wozem.

Tak, że młoda przyjeżdżała już z wianem, a goście jej gościli się sami, bez młodej”. Stopniowo, ponieważ nie było ku temu warunków, zaprzestano organizowania takich weselisk.

Podobnie jak niektóre obyczaje, tak zanikały też niektóre charakterystyczne dla pewnych regionów ubiory. Nie chciano się wyróżniać, nie chciano, by już na pierwszy rzut oka było widoczne, skąd kto pochodzi. Jeden z naszych rozmówców wspominał: „W 1945 r. zobaczyłem w kościele osobę w pięknym, haftowanym kożuszku. Jak mi się ten kożuszek podobał! (...) Następnego roku hafty zniknęły”.

Czy obecni mieszkańcy Witnicy odwiedzają swe strony rodzinne, czy ciągnie ich tam, by zobaczyć, co pozostawili? Czy tęsknią za swą dawną ojczyzną i czy chcieliby tam powrócić, czy też już się na tyle tutaj zadomowili, że nie porzuciliby swych domostw i wolą tu pozostać?

Wyjazd na Zachód był dla wielu osób wielką niewiadomą; niektórzy jechali wbrew swej woli, z rozterką w sercu, inni spodziewali się „lepszego losu” wśród swoich. Niejeden, opuszczając wtedy swe gospodarstwo na wschodnich rubieżach kraju (pod przymusem lub dobrowolnie, widząc, że stosunki między Polakami a Ukraińcami stawały się w tych stronach coraz bardziej napięte), miał jednak świadomość tego, co go czeka na Ziemiach Zachodnich. Tu i ówdzie krążyły informacje o tym, iż na zachodzie panują znacznie gorsze warunki glebowe niż na wschodzie, gdzie gleba była bardzo urodzajna. Chcąc „wysiudac” Polaków stamtąd wysmiewano się z nich, jak wynika z relacji, zachęcając złośliwie: „(...) jedźcie na zachód, na piaseczki”, gdyż w Galicji, na Podolu ludzie byli przyzwyczajeni do czarnoziem; mówiono też, iż tam „nie trzeba będzie ani pługa, ani bron, tylko gałęzie – i już sobie zaorają!”. Jedna z pań tak skomentowała te słowa: „Oni myśleli, że jak Polaków wszystkich stamtąd wysiudają, to my wyginieemy – bo niby, że na piaskach. Później, jak Polacy zaczęli przyjeżdżać w odwiedziny, to znów było źle. No bo jak to? – Z piaseczków, a mieli jeszcze lepiej?”.

Część ludzi wyjeżdżała w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych odwiedzić swych krewnych na Wschodzie. Reakcje z tamtej strony były różne. Na ogół nie zadawano im pytań w rodzaju: „Po coście wyjechali?” lub „Czemu myśmy nie wyjechali?”. Nie było raczej komentarzy na ten temat. Natomiast jedna z pań, będąc tam pewnego razu w odwiedzinach usłyszała, jak mówiono pokątnie: „Te Polacy, to od nas wszystko złoto zabiorą, a my nic nie będziemy mieć. Co lepsze, to oni, oni, oni”. Można się jedynie domyślać, iż pozostała w nich jakaś głęboko skrywana uraza, zazdrość, że tym, którzy wówczas wyjechali na Ziemię Zachodnie, mimo wszystko lepiej się teraz powodzi; otwarcie nie chciano się jednak do tego przyznać. Z kolei, gdy stamtąd przyjeżdżano tutaj w odwiedziny, użalano się: „U nas teraz bieda taka, jaka u was była”, ale to budziło natychmiast oburzenie, że przecież „u nas biedy nie było, tylko, że my chcieliśmy mieć złoto!”

Ujawniały się też pewne kompleksy narodowe ludności ukraińskiej; jedna z uczestniczek spotkania stwierdziła: „Oni zazdrościli Polakom. Wtedy chcieli, żebyśmy wyjechali, ale zazdrościli, że mamy orła, mamy flagę, mamy więzy (...) w pewnym sensie mieliśmy te atrybuty narodowe. A oni nie”. Ukraińcy mając ogromne poczucie tożsamości narodowej, nie mogli pogodzić się z faktem braku własnego państwa: „ci miejscowi, na punkcie tego, że nie mają własnego

państwa, to nie wiedzieli sami, co mają robić. I później oni się powiązali z Niemcami". Z rozmaitych dyskusji wynikało też, że zazdrościli Polakom – jak mówiono – „wzięcia w świat”. Do tej pory zresztą istnieją na tym tle niedomówienia. Jest też wiele nie zablźnionych ran między Polakami i Ukraińcami sięgających korzeniami do okresu wojny i okupacji, ale niezbyt chętnie o tym mówiono. Lecz zupełnie przypadkowo ujawniło się to ze zdwojoną mocą podczas jednego z niezaplanowanych wcześniej spotkań witnickich.

W trakcie Pogwarek poruszanych było jeszcze wiele innych kwestii związanych z wysiedleniami i przesiedleniami, m.in. mówiono na przykład o odwiedzinach Niemców mieszkających na tych terenach przed wojną, ich spostrzeżeniach i wzajemnych stosunkach między dawnymi i obecnymi mieszkańcami Witnicy i okolic. Dowiedzieliśmy się przy okazji, jak potoczyły się losy Niemców witnickich przesiedlonych najczęściej aż gdzieś do Zagłębia Ruhry.

Optymistycznie zabrzmiała wypowiedź jednego z uczestników, który powiedział, że również Niemcy zza Odry współdziałają ze Związkiem Emerytów i Rencistów w Gorzowie Wlkp., zależy im bowiem na tym, aby wspólnymi siłami „(...) tę przeszłość tamtejszą zmienić; zmienić ten nastrój w innym duchu, tak żeby zamiast nienawiści, była teraz przyjaźń”. To przesłanie budzi nadzieje.

Pogwarki Witnickie (w sumie odbyło się pięć spotkań) dostarczyły interesującego materiału socjologiczno-historycznego. Przedstawiona powyżej próba uchwycenia „na gorąco” myśli i odczuć pierwszych osadników na Ziemiach Zachodnich pozwala utrwalić tę prawdę nigdzie nie zapisaną, nie udokumentowaną, trochę subiektywną, ale przez to wcale nie mniej wiarygodną. Zdarzało się niekiedy, że podczas naszych spotkań ludzie mieli odmienne zdania na temat oceny niektórych zjawisk, pewne rzeczy postrzegano inaczej – i to całkiem zrozumiale. Czasem ludzie byli tak podnieceni, że mówili jeden przez drugiego, udowadniając sobie swoje racje, bądź uzupełniając wypowiedzi poprzednika. Ale dzięki temu te spotkania stawały się barwniejsze. Powyższy tekst, to zaledwie mały wycinek zebranego materiału. Ma on na celu jedynie zasygnalizowanie tej niesłychanie żywej i jakby na nowo odkrywanej tematyki. Całość zostanie dopiero opracowana i będzie mogła stanowić interesujące źródło dla osób podejmujących w swych badaniach problematykę Ziemi Zachodnich i Północnych.

MARIA WAGIŃSKA-MARZEC

PROBLEMY SPOŁECZNE I KULTUROWE ADAPTACJI NIEMIECKIEGO DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

SONDAŻ W GUBINIE I SŁUBICACH

W ostatnich latach w świadomości mieszkańców Gubina i Słubic, zwłaszcza w ich opinii na temat niemieckiego dziedzictwa kulturowego zaszły istotne zmiany. Przedmiotem naszego zainteresowania był szczególnie proces adaptacji społecznej i kulturowej. W socjologii adaptację społeczną pojmuje się jako „proces, w którym dokonuje się stopniowe uznanie krajobrazu kulturowego za